23. Lutego. **Nr. 17.** 1868 roku.

Wychodzi w niedzielę, z dodatkiem muzykaljów, mód, wzorów i krojów.
Cena:
kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „
Z dodatkiem:
kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie w drukarni Kornela Pillera.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Wykręcił się! — mruknął Ataman po chwili. — Szelma turek!... Ale go nam już nie wskrzesić... *Propało!* — Dalej, zabierajmy się do Sułtana! — zawołał głośno — Komu głowa na karku nie zawadza, niech się wynosi z pałacu... Do Sułtana!

Za chwilę w pałacu Reszyda pozostały tylko trupy.

Kobiety i dzieci wyprowadzono, rzeczy co kosztowniejsze zabrało kozactwo; Koszowy skinął, i pałac Reszyda z czterech stron objęły płomienie.

Skóra drzy na bisurmanach; sułtan modli się w meczecie. Hołota kozacka grzeje zęby przy pałacowym ogniu, a Koszowy ze starszyzną radzą na uboczu.

Skończyli radę. Występuje ataman Taraneć; z nim kozak Moroz i jeszcze czterech; idą z poselstwem do Sułtana.

Ważne posły! Nielada nowiny niosą Sułtanowi: dwie nagie szable na krzyż złożone, bułkę chleba i flaszkę wódki, a za chorągiew pokoju służy głowa Reszyda, wysoko na spisie zatknięta.

Poszli pod mury; a wojsko kozackie czeka powrotu, niepewne:

„Czy budemo byt'cia?
Czy budem myryt'cia?“

bo jedno i drugie można!...

Nie dobrze robi się turkom; ale puszczają posłów za bramy; stawią przed radę dywanu.

Stanął pan Kurenny na przedzie, przy nim kozak Moroz — do rozprawy, bo zna mowę bisurmańską; na lewo ten, co niesie głowę Reszyda, z prawej kozak z chlebem i szablą — reszta z tyłu.

Wystąpił Moroz przed radę Sułtana, i odzywa się w te słowa:

›Przesławny Kosz wojska zaporozkiego siedział spokojnie i chwalił pana Boga w Siczy zaporozkiej; rozruszał go Sułtan turecki, odwieczny wróg chrześcjaństwa, i listem zaprosił Towarzystwo do siebie w gościnę. Kozactwo posłuchało prośby, przyszło na chleb-sól do Sułtana, i ot tam czeka za bramą. Przesławne wojsko Zaporozkie, Koszowy i starszyzna posyłają nas tu powiedzieć tobie sułtanie: albo chcesz bitwy — spalenia Carogrodu i takiej śmierci, jaką ma twój sługa Reszyd-basza, którego głowę przynosimy... albo przystajesz na *mir* i zgodę z przesławnem wojskiem zaporozkiem, Atamanem i starszyzną. Ot tu wam chleb i czarka kiedy *mir*, a nagie dwie szable, skoro wojna!...

Zlekka pokłonił się i czeka.

Widzi turek, że nie żarty!... Tam już czy nie połowa Stambułu w ogniu... tu głowa Reszyda strasznemi oczyma patrzy na radę dywanu... Biegną do Sułtana: co robić?

— Dać wszystko, co zechcą! — odpowiada Sułtan — byle tylko pozbyć się licha...

Przystali turki na *mir;* pytają: czego chcą kozacy, żeby odeszli z Carogrodu?

— Prostą drogą na Sicz odjedzie kozactwo — mówi stary Moroz — ale nie pierwiej, aż nam dacie. — I tu zaczął wyliczać.

Turcy za głowę się biorą! Połowę bogactwa tureckiego żąda wraże kozactwo.

Znów rada biegnie do Sułtana.

— Dać! wszystko dać! — odpowiada Sułtan, któremu jeszcze pięty trzęsą się ze strachu.

Nie wiele żądało kozactwo: Na każden kureń po trzy tysiące czerwonych; Koszowemu trzy; kurennym po dwa, reszcie starszyzny po tysiącu. Na każdego mołojca trzy czerwone, a na dziesięciu ich postaw sukna czerwonego, dwa czarnego. Podarunki dla króla i senatorów w zbroi, rynsztunkach, materjach i drogich kamieniach — taj tyle! Sułtan aby zdrów znowu sobie nazbiera dostatków; a kozacy — hołota! nie pożywią się u sąsiadów — z głodu zaginą; ot i tak już kolanami świecili... Daj Boże zdrowie Sułtanowi, że zaprosił do siebie, i w co potrzeba zaopatrzył biedne kozactwo!...

To się wie, że gdzie był jaki więzień — puścił go Sułtan na swobodę; a za to, żeby kozactwo nie wysiadało po drodze na brzegi, pożegnać się z turkiniami — Sułtan dał im swoje pismo, którem warowano gościom swobodny przejazd aż do ostrowów. Okręt był przeznaczony czajkom do pomocy, ażeby kozactwo niezbyt się męczyło wiosłując.

Z wielkimi honorami wyprawił Sułtan swoich gości, a choć później przeklinał ile się wlazło — kozacy i Koszowy nie słyszeli tego na morzu.

Nie stało kozaków w Stambule...

Wesele weselem, a nie jednej krasawicy żal chwatów. Co turek? — maruda... ot, kozak — to było!... Zostawili znak po sobie!...

Wypływają z Bosforu siczowi, a każden patrzy w stronę Stambułu. Choć trochę — a pohulał, i napatrzył się na dziwa, których może póki życia więcej nie obaczy!

W dumce Hnata to jedna, to druga turkinia mignie; śmieją się do kozaka... Szkoda! taj koniec. Nie było czasu nacieszyć się...

Dmytro markotny, że tylko widział jak inni roskoszowali, a samemu ślinka ciecze... i termołamy nie znalazł!

Bies wie po jakiemu wszystko poszło! Jakby mu teraz na brzeg — wiedziałby co zrobić?... ta-ba! już po wszystkiemu!...

Hnat także przypomniał sobie termołamę... Aż się za głowę złapał, że mu na myśl nie przyszła w Stambule.. ale w tej chwili turkinia stanęła kozakowi przed oczami — może ani trochę nie brzydsza od Handzi... No, co miał szukać termołamy, kiedy tu... Ot, szkoda, że tak prędko stanęła ugoda z Koszowym!... Co szkodziło jeszcze choć dzień zatrzymać się w Stambule!

Wraże dzieci! — do smaku przypadła im gościna w Carogrodzie!...

Liman! Liman! już kozacy u siebie, na swoich wodach.

„Proszczaj more, Synie more,
I tychyj Dunaj!
Dnipre sywyj w Ukrajini
Sławutciu wytaj!
Hraj more, hraj!
Łychom ne zhadaj!“

Tu się rozstali z galerą turecką.

Jak mrówki, wysypało się na brzeg kozactwo; ciągną czajki sznurami, żegnają się, całują jedni drugich — powrócili na Zaporoże...

A ile tam już było wesela, jak wysiedli na wyspę, gdzie powrotu towarzystwa oczekiwali ci, których zostawiono w Siczy! Nie jednemu na brzegu serce bije: czy obaczy tych, którychby ujrzeć pragnął?... Okrzyk wesela wydobywa się z piersi, oko szuka pomiędzy szeregami. Nie ma tego... i ten nie wrócił... tamten zginął... Ale na smutek będzie dość czasu; teraz wesele-radość z powrotu!

Przed koszową cerkwią czeka już *Panoteć* w ryzach; błogosławi towarzystwo, do cerkwi wprowadza.

Wszedł Koszowy, za nim starszyzna, zwalili się w nogi przed Preczystą; kto żyw bije pokłony... Służba boża prawi się w cerkwi, kozactwo szczerze odmawia modlitwy. Jak nastawiali świeczek — aż duszno w cerkwi... a to dopiero początek! Nie jeden ze świecą pojedzie do Poczajowa i do kijowskiej Ławry.

Dostała Bohorodycia nie na jeden sznur koralów za to, że strzegła kozactwo; bogatą ryzę przywiózł z sobą Koszowy, i moszczy świętego z Carogrodu, kawał drzewa z krzyża Chrystusowego... wszystko to złożono w siczowej cerkwi; a po modlitwie przystąpili do podziału zdobyczy.

Czy był na wyprawie, czy w domu zostawał — każdemu przypadła część równa — nabili kieszenie czerwońcami!...

Podarki dla króla i senatorów w Warszawie postanowiono, ażeby zawiózł kurenny Szwydki; a kiedy zdawało się koniec wszystkiemu, wystąpił Koszowy.

— Całemu towarzystwu — mówił — należy się sława i cześć po wieki; każden z kozaków zrobił co do niego należało, bo taki zwyczaj w kozactwie; ale jest tu między nami dwóch chwatów, którym osobno należy się sława, bo zrobili więcej, niż każden inny. Jeden z nich oddał w ręce kozactwa turecki okręt masztowy, a drugi wyratował nas wszystkich od śmierci w pałacu Reszyda, i żywcem przystawił baszę. Nam starszyznie wydało się sprawiedliwem osobno nagrodzić tych mołojców. *Czy dobrom zahadały?* panowie towarzysze!

— Sprawiedliwie! sprawiedliwie! — odhuknęli kozacy.

— A no, wystąp tu Hnate! i ty Dmytro nie kryj się za plecami. Zasłużył się — otrzymujesz nagrodę; a narobisz licha — skóra odpowie; u nas tak po zwyczaju! — Ot, tu wam wszelkiego dostatku: zbroi, rynsztunków, srebra, złota... Wybieraj mołojcze!

Hnat coś długo mnie czapkę w dłoni — nie wie: jak tu powiedzieć... Dobra zbroja i wszelki dostatek, ale..

— Zanim się Hnat namyśli — ty Dmytro wybieraj! — mówi Koszowy.

A i temu nie tak łatwo wybrać!...

— Co się wam stało? poniemieli!

— Wybierajcie! — mówi starszyzna.

— Co do spodobu: koń? rysztunek?

— Nie! — odpowiadają kozacy.

— Złoto? srebro?

— Termołama — nasiłę odpowiedzieli obydwa.

Aż się żachnęło kozactwo.

— Termołama! — krzyknęli.

— A wam po jakiego biesa tej płachty?... — zawołał Koszowy.

— Czy w spodnicach chodzicie? — pyta kurenny Stupa.

Dmytro i Hnat, obadwa poczerwienieli; a przecież niczego nie chcą, tylko termołamy.

— Tfu! — splunął kozak Moroz, patrząc na Dmytra — I jemu to było wynaleźć Reszyda!...

— *Dity! czy poduriły!* Chcecie termołamy? — uszom swoim nie wierzy Koszowy.

— Termołamy — odpowiadają kozacy.

— *A hij na was!* — krzyknął Koszowy, i porwawszy kawał materji, szablą rozkroił ją na dwie równe części.

— Poróbcież sobie fartuchy! — mruknął, rzuciwszy każdemu po kawale.

Dmytro podniósł termołamę, włożył ją pod pachę, a pochyliwszy kołpak na prawe ucho, krzyknął groźnie, mierząc wzrokiem uśmiechających się kozaków.

— A teraz kto zechce śmiać się z Dmytra *proszu na czyste pole!*

— I ja nie inaczej! — odpowiada Hnat, trzęsąc się od gniewu. — *Hodi* śmiechu! bo się płaczem skończy!

Koszowy pokręcił wąsa; z zadowoleniem patrzy na zaperzonych.

— Chwaty! — mruknął. — Tylko na czorta im ta termołama?... A nu mołojcy! — zawołał głośno do Dmytra i Hnata — czy jeszcze djabeł dmucha w niezgodę?... Podajcie sobie ręce na bractwo!

Hnat i Dmytro zmierzyli się okiem.... Może by i zmiękli, gdyby nie biesowska termołama, która wypadła kozakom z pod pachy.

— Nie ma zgody! — mruknął Dmytro.

— *Woroh!* — wtóruje mu Hnat nie wesoły.

— Biesowskie dzieci! — uśmiecha się Koszowy. — Niech robią jak chcą — na to kozacka wola... a szkoda, że się bieszą!

Rozeszło się kozactwo — gdzie komu wola: pić, hulać, albo burłakować, bo wszystko można — póki można; a przyjdzie co do czego — trzeba gryźć suchara i wspominać o lepszych czasach!

Na przewozie spotkali się: Hnat, stary Artem i Dmytro.

— Dokąd? — pyta Hnat Artema.

— Do swoich — odpowiada zatoczeniec. — Pół kopy lat jak nie widziałem rodziny... A ty? mołojcze!

— Gdzie poniosą oczy! — odpowiada Hnat, wsiadając do łodzi.

— I tobie kozacze przyszła ochota — zwraca się stary do Dmytra — a dokąd? jeśli wola...

— W step, przed siebie! — odpowiada Dmytro, niespokojnie patrząc na łódź wiozącą Hnata.

Kozak domyślał się dokąd wróg zmierza, i gniew mu zawrzał w piersi.

— Mało zeń turkini — zgrzytnął — jeszcze mu tej trzeba... Niedoczekanie twoje! — i pogroził kułakiem.

A Hnat tymczasem wydostał bandurkę, i śpiewa przy jej brzęku.

Dmytro zły, ledwie oddycha.

W różnych punktach przystały łodzie do brzegu. Przeciwnicy stracili siebie z oczu... Czy ja wiem, może się spotkają!... (D. n.)

Po śmierci.

Komedja w jednym akcie,

Bronisława Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena VII.

PAN TOMASZ, PIOTR (*wchodzą, otworzywszy drzwi kluczem.*)

PAN TOMASZ (*z szkatułką w ręce — w drugiej okulary.*)
No, no — już dobrze, dobrze — iście: powód słuszny
Opatrzenia zmarłego —

PIOTR (*n. s.*)
Papo dobroduszny!
Zobaczysz go...

PAN TOMASZ (*stawiając szkatułkę na stole, rozbiera w myśli.*)
Hm, iście: ten błąd organiczny
Daje dość do myślenia...

PIOTR (*rozmawia przez cały ciąg następnych scen cicho z Walerym.*)
Sza!... cud magnetyczny!...

PAN TOMASZ (*zasadzając okulary, do Piotra.*)
Ha, więc panie sługusie pokaż tego trupa —

PIOTR.
Jaśnie wielmożny panie, chwilkę! bo ta ciupa
Gdzie nieboszczyk, zamknięta...

PAN TOMASZ.
Cóż, do paralusza?...

PIOTR.
Jasny panie! chwileczkę — klucz u notarjusza,
Który wnet tu nadbiegnie względem testamentu...

PAN TOMASZ (*zamyślony.*)
Zaczeka się... (*chodzi w myślach po pokoju.*)

PIOTR (*do Walerego, przez drzwi.*)
Na nudy, posłucha lamentu
Papa... (*usiada na ziemi pod drzwiami i opuszcza głowę na kolana.*)

WALERY (*do Piotra przez drzwi.*)
Brawo!...

PAN TOMASZ (*rozmyśliwając.*)
Ej, błąd ten — błąd! zwłaszcza, człeczysko
Było młode i zdrowe — to śmierci nie blisko!...
Iście: dziwnie!... Czy letarg?... Letarg! U kaduka,
Ślicznie się tu popisać może moja sztuka!...
Ej, letarg oczewisty!.. gdybyż podziałało
Sposobem magnetycznym?... iście! jakąż chwałą
Okryła by się moja kochana teorja?
Dla mego magnetyzmu jaka świetna glorja?!...
Koniecznie trza korzystać kiedy się nadarza
Taka sposobność... (*zażył tabaki.*)

WALERY (*przez drzwi cicho do Piotra*).
Cóż tam?...

PIOTR (*odpowiadając mu.*)
Papa coś rozważa...

PAN TOMASZ (*rozglądając się po pokoju, mówi przed siebie.*)
Aj!... taż to ja w mieszkaniu owego pajaca,
Co mojej Stasi — urwis ten! — rozum zawraca!...
Iście, że byłbym może i zapomniał o tem —
No, chwała Bogu, koniec już będzie z kłopotem!
Pan aktor w samą porę wyniósł mi się z świata...
I na szczęście!... nanieśli mi djabli warjata
W dom, by mi własne dziecko moje bałamucił!...
Szczęście, że w samą porę ten padół porzucił,
Więc już i Stasia chętniej barona poślubi...
(*przystaje przestraszony myślą.*)
Ba, a jeśli się uda wskrzesić?... on mię zgubi!
Z wdzięczności... Iście! ślicznie! zbudzić sobie licha
Na własną zgubę!... z własnej mądrości kielicha
Wypić głupstwo?... upadam! (*zabiera się do odejścia—wpada Narowek.*)

Scena VIII.

DAWNI, NAROWEK.

NAROWEK (*młody chłopak, bardziej krzyczy niż mówi.*)
Co to? umarł?... gadaj
Kto żyw: czy ta wieść straszna...

PIOTR. (*smutno.*)
Ach, panie! nie badaj —
Oszczędź serca!... niestety!

NAROWEK (*do Piotra.*)
Ha, kłamco wierutny!
Więc to ma być koniecznie faktem?

PIOTR (*j. p.*)
Oh, fakt smutny!...

NAROWEK (*boleśnie.*)
Bodaj bym był nie sprawdzał!...

PAN TOMASZ (*zdziwiony, n. s.*)
Pewnie jakiś blizki
Aktora...

NAROWEK.
Patrzcie ludzie! człowiek co z kołyski
Wziął już misję genjuszu — mistrz w swojem dziedzictwie —
Musi oto tak nagle w szczytnem posłannictwie
Ustać na świecie, cięciem powalony kosy,
Tej, co nie zna wielkości... ohydna!... O losy!... (*wybiega.*)

Scena IX.

PAN TOMASZ, PIOTR.

PAN TOMASZ (*zdziwiony do Piotra.*)
Czego on chciał?

PIOTR.
Ot, zwykle — wynurzył swe treny...
Znać musiał nieboszczyka zapewnie ze sceny,
Więc żali się nad losem tej ludzkiej wielkości...

PAN TOMASZ (*kpiąco.*)
Aj, aj... Iście to dziwnie. — Więc niby ludzkości
Stała się wielka przykrość śmiercią komedjanta?...

PIOTR.

Juźci...

PAN TOMASZ (*j. p.*)

To mi rzecz nowa!... (*n. s.*)
Patrzcie tego franta!...
(*po namyśle.*)
Wskrzesić! wskrzesić! Ze Stasią damy sobie radę —
A ja z teorją moją w cały świat wyjadę!...
Gdyby wskrzesić... o, gdyby się tylko udało!.
Iście: sprobować warto... Tylko śmiało! śmiało!...
(*do Piotra.*)
No, pokazujże wreszcie twojego genjusza...
(*Piotr niemo pokazuje drzwi zamknięte.*)
Aha, wszak to czekamy pana notarjusza...
Oby wkrótce już nadszedł!...

PIOTR.

Lada moment, panie!...
(*wpada kronikarz dziennikarski.*)

Scena X.

DAWNI, KRONIKARZ.

Przychodzę, aby spisać tutaj sprawozdanie
Tej smutnej katastrofy — smutnej...

PAN TOMASZ (*n. s.*)

Masz!... Na zdrowie!
Znów jakiś błazen!...

KRONIKARZ.

Chciejcie mi — z łaski — panowie,
Podać niektóre z życia ważniejsze szczegóły
Tego wielkiego męża...

PAN TOMASZ (*n. s.*)

Proszę, jaki czuły...

PIOTR (*d. s.*)

Ten nie zły!...

KRONIKARZ (*z ukłonem do pana Tomasza.*)

Państwo pewnie nieboszczyka blizcy?...
Może krewni...

PAN TOMASZ (*osłupiały.*)

Co?... jakto?... ja?! (*n. s.*)
A niech cię wszyscy!...
Ja? ja? krewnym aktora!...

KRONIKARZ.

A więc pan dobrodziej
Nie jesteś krewnym?

PAN TOMASZ (*hamując się.*)

Co?!.. nie!

KRONIKARZ.

Szkoda!...

PAN TOMASZ (*zły widocznie.*)

Coż to szkodzi?!

KRONIKARZ.

Wszak nieboszczyk był wielki... Myślałem...

PIOTR (*d. s.*)

Wybornie!

PAN TOMASZ (*przedrzeźniająco.*)

Wielkim?! wielkim!...

KRONIKARZ.

Coż przecie?

PAN TOMASZ (*j. p.*)

Nic — tak, gdy upornie
Ma być wielkim...

KRONIKARZ.

Co?

PAN TOMASZ (*z pasją.*)

Wielkim był! wielkim! ogromnym!...
A! dajże mi z nim pokój!... (*odwraca się i chodzi zły po pokoju.*)

KRONIKARZ (*n. s. zdziwiony.*)

Czy ja z nieprzytomnym
Mówię?... (*po chwili.*)
E, inne rzeczy! to jakiś posępny
Przyjaciel nieboszczyka, taki nieprzystępny...
(*do pana Tomasza z ukłonem.*)
Racz pan wybaczyć, jeślim dotknął go niemile
Wspomnieniem... A że umiem poszanować chwilę
Smutku ludzkiego — żegnam... O szczegóły później
Poproszę — jeśli łaska... (*odchodzi.*)

Scena XI.

PAN TOMASZ, PIOTR.

PAN TOMASZ (*za odchodzącym ze złością.*)

Jak mi ten łotr bluźni!...
Patrzaj — proszę!... Czy moja twarz go tak rozśmiesza?
(*ogląda się ze wszystkich stron.*)
Czy ja już także może patrzę na hołysza,
Że on śmie się mię pytać: czym krewny pajaca?!...
A bardziej: czy aktorstwo tak bardzo popłaca,
Że gdym się pokrewieństwa wyparł, on mi: szkoda!...
Szkoda!... hm, wielka szkoda!... A to paliwoda
Gazeciarz jakiś — proszę!... Szkoda!... no, dziękuję!...
(*wchodzi Mistrz Rzeźbiarz z przyborami do modelowania.*)

Scena XII.

DAWNI, MISTRZ RZEŹBIARZ. — później: MISTRZ MALARZ, POETA i DAMA ZAKWEFIONA.

PAN TOMASZ (*ujrzawszy wchodzącego Rzeźbiarza.*)

Ha! jak widzę, kto żyje tylko, tu zlatuje...
Zakazane postacie same...
(*wchodzi Mistrz Malarz z teką pod pachą i przyborami do portretowania.*)
Ej, do kata!
I znowu djabli znoszą jakiegoś warjata!...
Z przyrządami... Czy myślą tu zdobywać szańce?...
(*Rzeźbiarz i Malarz rozkładają swe przyrządy na stole.*)

PIOTR (*n. s.*)

Czego ci chcą?...

PAN TOMASZ (*zły, d. s.*)

A szelmy jedne! a pohańce!...

RZEŹBIARZ (*do pana Tomasza, kłaniając się nizko.*)

Pozwoli pan zdjąć z trupa maskę — maska zda się,
Bo pewnie przyjdzie stawić posąg w swoim czasie...

PAN TOMASZ (*odskakując krokiem w tył.*)

Jakto?... posąg?!...

MALARZ (*z ukłonem do pana Tomasza.*)

A ja zaś radbym mieć w portrecie...

PIOTR (*dusząc się od śmiechu, n. s.*)

Znakomicie!...

PAN TOMASZ (*przerażony, stoi chwilę niemy, spoglądając po obecnych — chwyta się za głowę.*)

Czy wszystko kończy się na świecie?!...
Czy mnie się przewróciło we łbie?... tfy! do czarta!...

RZEŹBIARZ (*zdziwiony.*)

Więc pan sądzisz?...

MALARZ (*kończąc.*)

Że taka osoba nie warta?...

PAN TOMASZ (*cofa się przed nimi i zatyka uszy.*)

Ja nic nie sądzę! — nie wiem nic — ja nic nie słyszę!...
(*wpada Poeta.*)

POETA (*dobywając papieru i ołówka.*)
Tu, na miejscu, najlepszą elegję napiszę,
Widząc te twarze smutne... (*toczy wzrokiem po obecnych.*)
i łez pełne oczy!...
(*odchodzi w kąt pokoju, a oparłszy się o ścianę, pisze.*)

PAN TOMASZ (*na widok ostatniego, osłupiał.*)
Gwałtu!...
(*wchodzi Dama zakwefiona, w czerni cała, boleścią złamana; kroczy zwolna na pana Tomasza — w ręku niesie wieniec laurowy.*)

PAN TOMASZ (*jak przykuty pod wrażeniem nadchodzącej*)
Patrz!... jeszcze jakaś czarna zmora kroczy...
Z wieńcem w ręku...

PIOTR (*kładąc się od śmiechu, d. s.*)
Komedja występuje z brzegu...

DAMA ZAKWEFIONA (*zbliżywszy się do pana Tomasza, rzuca mu wieniec laurowy na szyję i wyjęknąwszy.*)
Na trumnę mu!... oh! (*zawraca i odchodzi, słaniając się.*)

PAN TOMASZ (*osłupiały, drży i pada w krzesło.*)
Jezu!...
(*rozplątuje się z wieńca i rzuca nim o ziemię. Ciężko sapiąc, zostaje bezwładny do końca sceny w krześle. Malarz i Rzeźbiarz przysposabiają się do swych prac.*)

POETA (*pod ścianą — odczytuje ostatnie słowa elegji z zachwytem.*)
„Tyś już na noclegu
U aniołów!..." Przepysznie!! (*wybiega.*)

PAN TOMASZ.
Ratuj Jezu słodki!...
(*ociera pot z łysiny.*)

PIOTR (*j. p.*)
Tu przyjdzie pęknąć wkrótce... Poeci! dewotki!...

RZEŹBIARZ (*ukończywszy przysposobienia, do pana Tomasza.*)
Czy możnaby wykonać? — już przysposobiono...
(*Malarz kłania się jednocześnie panu Tomaszowi, który bezwładnie ręką skinął w odpowiedź.*)

PIOTR (*woła od drzwi.*)
Nieco później panowie — pan notarjusz pono
Wnet nadejdzie...

RZEŹBIARZ.
Więc można i nam się powstrzymać...

RZEŹBIARZ I MALARZ (*razem.*)
A tymczasem... (*kłaniają się panu Tomaszowi i odchodzą.*)

Scena XIII.

PAN TOMASZ, PIOTR.

PAN TOMASZ (*wysapawszy się, po chwili.*)
Ha, wszystkich tych drabów poimać
I oddać do warjatów!...
(*wstaje, i załamuje ręce na widok wieńca i zostawionych przyborów rzeźbiarskich i malarskich.*)
Gotowi go zrobić
Wielkim!... to darmo!... w laury chcą trumnę ozdobić,
Posągi stawiać... darmo!... Iście: kara nieba!...
Pajacowi, co nie miał powszedniego chleba
Za życia — który zresztą, choć zawsze wesoły,
Przez całe nędzne życie jak bizun był goły:
Pajacowi, co umiał chyba dziwolągi
Robić z siebie — patrz! oto chcą stawiać posągi!
W niebo wynoszą — laury znoszą — wielkim głoszą —
O pośmiertną przysługę sami tutaj proszą — —
Koniec świata!!... (*po długiej chwili niemego rozważania.*)
A jednak... Czart ich wie?!... a może
Coś nareszcie i mogło być na tym aktorze?... (*po chwili.*)
Nie! mnie się to nie mieści... (*po chwili.*)
Bah! przecie nareszcie
Coś być musi, gdy taki hałas w całem mieście?... (*po chwili.*)
No, no... więc tem ci bardziej trza Koryfeusza
Wskrzesić... (*idzie ku drzwiom niecierpliwy i przypomina sobie.*)
Wszak to czekamy jeszcze notarjusza —
Prawda, prawda — (*słychać głośne wrzaski przed domem.*)
Cóż znowu za głosy rozliczne?...
(*idzie do okna.*)
A niechże cię!.. już wszystkie kanalje uliczne
Ściągają się tu... Gapy! cała gawiedź miejska!...
(*wchodzi Baron.*) (D. n.)

OBRAZKI SĄDECKIE.

Szczęsnego Morawskiego.

Dziura w moście, albo raczej: most w dziurze.

Od Nowego-Sącza do kolei węgierskiej najkrótsza droga wiedzie doliną Popratu (lud miejscowy nigdy nie mówi Poprad — jeno: Poprut, niejako Pobród) przez Piwniczną szyję i Krępak. Czasami na targ pojedynczy 200 wozów obłogiem przybywa od kolei węgierskiej i ze Spiża; poczta też tą drogą utrzymuje związki obóstronne, mianowicie tutejsze między Bochnią a Kezmarkiem, a ztamtąd węgierska.

Poprutu wylew zeszłoroczny nie nabawił gór głodu, lecz bezdroża wielkiego: zmywając mostki na potokach poprzecznych, a miejscami zmywając drogi. Niebawem też jeździły komisje urządzające naprawę i odbudowanie dróg i mostów. Starozakonni przedsiębiorcy, jak zwykle, obejmowali dzieło z obowiązkiem dokonania w trzech miesiącach. Lecz robota szła niesporo; koniec końcem zapadła zima, a most w Barcicach nie stanął.

Barcice — jest to jedna z najstarszych osad w okolicy, mieszcząca w obrębie swym ›Sapieniec‹ pielesze słynnego Sapieńskiego wojownika pod Grunwaldem, który szermierki wojennej uczył Jagiełłowiczów — co niechaj będzie rzeczone nawiasowo. U stóp tegoż Sapieńca grodziska płynie potok od Wzarów Przysietnickich, o których też niejedno staroświeckie dałoby się pomówić! Potok górski latem małoco nawodniony — jesienią przybiera, w miarę jak deszcze leją, lub śniegi zwolna topnieją od ciepła gór rozgrzanych w lecie. Lud podgórski nie wybredny co do dróg, nie żądał mostku ›pobiednego‹ lecz jechał w bród; co też nie trudno przychodziło i wozom ciężarnym i poczcie, boćto wszystko górale — gdyby padło: jechaliby po dachach i rynnach domów miejskich... Lecz miejsce ciasne, a kilka tysięcy wozów ciężkich nagle spuszczonych w potok, wybiło w nim głębię, na małej wodzie nie szkodliwą, która jednak niebawem stała się topielą, gdy śniegi zwaliły i przylodki zaostrzyły brzegi.

Śnieg zaś zwalił naremnie, mróz to chwytał to puszczał, droga wierżchem skrzepła, spodem była błotnistą, a rzeki i potoki niosły ›srysz‹ śnieżny i lodowaty. Na moście, raczej na potoku barcickim, powstał skwierk i narzekanie, spotężane krociami djabłów i piorunów siarczystych. Nie obyło się bez wypadków.

. . . .

Kilku kameralratów i kilku rządców kameralnych, nie tak przez zbytek rozumu gospodarskiego, jako raczej owiani

duchem systemu, który nie wiedzieć dlaczego od narodu niemieckiego otrzymał fryzjerski tytuł *»Zopf«* — w żaden ludzki sposób nie dozwalając spławu drzewa wodą, a prócz tego strzelając bąki gospodarcze niepospolite, pracowali nad tem i dokazali, że nas omal nie zamrozili.

Jeżeli zaś mieli ten zamiar okrutny, toć przynajmniej dzieje pomszczą nas, licząc do plemion niespokojnych, z którymi wielkoludy walczyły w imie swobody i zbawienia ludzkości. Rośniemy na duchu bacząc, że Mazzini i Garibaldi, Minée i Chassepot, pruski iglicówek wynalazca i wszyscy wielcy pogromcy złego, wychodzą z chęci podobnego oswobodzenia świata od złych potęg!... A Moskwa nie zamroziłaż bitnych Francuzów?... a zatem — i my nie ›Jacy tacy.‹

Nie potępiając jednak woli i chęci kameralnej, wyznajemy, że nam się zimno dało we znaki, w skutek gospodarstwa rzeczonego.

Leśnicy zaś kameralni doznali losu tych, których prześladują sami, t. j. wilków (okrom duszy!) Tak na nich hukano, tak hukano gdzie się tylko pokazali!... Więc jako mogli uniewinniali się i namawiali, by posyłać do lasa, kędy nad potokami stoją sągi pozwalane z gór.

Najpierwszy co usłuchał, był *plenis titulis,* pan Jasiński pocztmistrz nowosądecki, człek przedsiębiorczy i ruchliwy. Jemu nie nowina podwody dalekie, bo prócz djabelskich stacyj trzymilowych do Limanowy i Grybowa — latem do Krynicy podwozi ludzkość cierpiącą, i do Szczawnicy śle podwodę naumyślną, a przytem lubuje sobie w gospodarce; posiada w Możdżenicy ›hrabstwo‹ o kilkudziesięciu morgach ziemi, którą uprawia rozumowo, z pod Pegazów pocztowych zbierając ›siłę twórzącą urodzaje‹ i wożąc przez dwa miasta i kilka wsi, aż na miejsce przeznaczenia. Obecnie zaś nosi się z uprawą perzu wedle systemu Doblhofa ex-ministra. — Więc i lasu nie lęka się wcale: kupił kilkanaście sągów w kniejach rytterskich, a w przednią straż posłał konie najlotniejsze, które też bez przeszkody stanęły w Barcicach.

Nie będę was bawił opisem szczegółów przygody, ani rozkładem sposobów, rozmazaniem uczuć! — zostawiam to lirykom! Odrazu, jak ów postyljon sądecki, w potoka głębinę, walę w czyn dokonany: ›Najlepszy koń wyskakując z toni zawadził o przylodek, i urwał sobie cały róg kopyta przedniego.‹ Opuszczę Wam nawet rozpacz postyljona i cichą zasługę łowczego sądeckiego (ma znaczyć: *Oberförster*) i parobczaków barcickich, co samoczwart z panem łowczym wspierali biednego konia kalekę i postyljona w rospaczy... Szczegóły te zachowam dla monografów, lub fotografów dziejowych.

Drugą ofiarą był koń chłopa z Niszkowej, który to chłop też jadąc do lasu, wjechał w toń parą, a wyjechał jednym koniem, gdyż drugiemu woda zalała uszy — więc utonął.

Trzecia ofiara potoku barcickiego był szybkowóz c. k. poczty! — i to szybkowóz nowiuteńki, żółty jak kanarek, parokonny rzekomo, t. j. taki, co go trzy konie ledwo uciągną po górach, lecz od pary tylko idzie zapłata. Dziwny wypadek, że zaprowadzono wóz pocztowy lżejszy i lepszy. Snać postępujemy w wolności. Bo dawniej Galicja była ›duszą podłą‹ na której doświadczano kodeksów, przepisów i wozów zużytych — wedle słów prawa średniowiecznego: *Fiat experimentum in anima vili!* t j. na duszy podłej niechaj doświadczają mędrcy! Sądeczczyzna zasię była ›podłą duszą‹ Galicji! Kto pomni szybkowozy niedawne — przyzna! Lecz i teraz gdyby nie madźiary górni, którym do Wiednia na Sącz i Bochnię najbliżej t. j. najtaniej, byłoby jak bywało!

Owoż taki nowy wóz pocztowy, uprzężony trójką siwków naszego pana Christa, wpada w tonię złowrogą — i ani rusz! mimo całej dzielności ogiera naręcznego (nie zbyt dawno ozdoby stadniny Wgo Fihausera w Jazowsku). Trzeba zaś wiedzieć, że w wozach nowych konduktor siedzi wewnątrz z podróżnymi wraz. Tu poczciwy i znany powszechnie pan Marczak siedzi obok jakiegoś fabrykanta żeleziwa z Spiżu. Postyljon woła i bije nadaremno! w tem: chrast! dyszel się łamie — a srysz piętrząc się o wóz, puka po oknach powozu. Otworzyć drzwi: kąpiel po ramiona; czekać? to znówu srysz okna wytłucze i wóz obali!... postyljon chrypnie, konie dygocą od zimna, z góry śnieg i wiatr mroźny...

W tem Bóg sprowadza wójta z Połomia bliskiego. Wraca z Sącza z żoną, która mu zziębła bardzo; więc spieszy.

— Oh, ha! — stój! — Co sie tu wodzi?

— A widzicie! — ratujcie, bo zginiemy!

— Matko, trzymaj konie!...

— Ale jedź! bo mi zimno.. bokiem objedziesz!...

— Kobieto! masz też ty rozum?... Toć im dać ginąć? konie woda zaleje i wóz obalı!... tać to poczta — a jam wójtem. Na ci górnicę, odziej się — ja muszę pomódz!...

Zlazł, odział kobietę, odprzągł konie, dosiadł, przebrnął. Postylionowi kazał wyłożyć siwki. W tem jak na szczęście nadjeżdża drugi kmieć, więc obie pary zakładają do dyszla złamanego, a na przyprzążkę trzy siwki poczciarskie. Wyrwali przecie wóz, który do wnętrza nie przepuścił wody ani kropli. Kosztuje 1000 guldenów, ale dobry. Nawet śruby zapasowe były w skrzynce — więc z dyszlem skoczył parobek do wsi, a podróżny pan Kuźniczny sam zajął się śrubami. Wójtową zaś połomską zziębniętą, schroniono do powozu, okryto kożuchem konduktora, i tak przywieziono aż do Połomu, czem się uradowała wielce, i dotąd zazdroszczą jej kumy: że jechała kieby pani jaka.

Wtedy dopiero, na łeb na szyję urobiono połowinę mostu, po której się jeździ. Z czego wypływa nauka:

1. Liczebna: Skoro na Dunajcu pod Nowym-Sączem przed laty kilkadziesiąt obywano się przewozem i w żaden sposób nie umiano postawić mostu, aż dopókąd na jeden raz nie utonęło 17 żydów i żydówek z wozami i z końmi; na potoku zaś barcickim do postawienia połowiny mostku potrzeba było: kopyto końskie zerwać, konia utopić i szybkowóz zanurzyć z konduktorem wraz i z podróżnym — wynika matematycznie: Dunajec tak się ma do potoku barcickiego, jak 17 żydów z wozami i z końmi do kopyta końskiego, *plus* konia utopionego, *plus* szybkowozu zanurzonego... z dodatkiem wójtowej zziębłej. Proporcja ta sprawdza się mniej więcej przy każdym mostku sądeckim popsowanym. Przekleństwa i biadanie obustronne znoszą się...

2. Nauka prawnicza: Przedsiębiorca naprawy dróg i mostów jest sędzią karnym. Nakłada grzywny na podróżnych. Tak n. p. na pana Jasińskiego nałożył przez jakie 6 do 8 tygodni codziennie po 65 centów za siano i owies koniowi, dopókąd mu kopyto nie odrośnie, prócz tego równy wydatek na konia drugiego w miejsce ochromionego. Usługa, podstajenne... znoszą się z zyskiem gospodarstwa i uprawy ziemi... Na chłopa z Niszkowej nałożył grzywny wartości konia utopionego... Na pocztę: dyszel złamany i kłopot; na wójtową: karę zziębnięcia; na woźnicę: karę kąpieli zimnej... Resztę wniosków prawniczych — zostawiam prawnikom.

Więc dla dostojników drogowych zdałoby się wynagrodzenie obywatelskie, a to herbem staropolskim: ›Dziura w moście,‹ z napisem odpowiednim...

Sanną źle — wozem źle!

Niemcy spizcy i sądeccy, nienawidzą sanny i sani. Gdyby to polacy, możnaby wnosić, że i panien nienawidzą. Boć to przecież znana zwrotka:

Kiedy jechać — jechać sanną
Kiedy szaleć — to za panną! —

Rozumie się będąc młodym... Że zaś koloniści niemieccy za młodu są stateczniejszymi od polaków, nawet obstarnich, oczewiście więc, że ani sankować się nie chcą, ani szaleć. Ha, dobrze im tak! sami sobie winni.

Tyle przedmowy, czyli wedle powieściarzy lwowskich: Prologu! Teraz dalej, naprzód sanną!

Pan Marczak, konduktor poczty między Bochnią a Kezmarkiem, nie mogąc się przekopać przez śniegi Krępaku, rad nie rad musiał zostawić wóz pocztowy, a wziąść sanie, jakie mu się nadarzyły. Z Węgier do Bochni wiózł jakąś kobietę urzędniczkę, w sprawach kłopotliwych dążącą do kolei wiedeńskiej. W szybkowozie już ziębła nieboga, a na saniach otwartych byłaby skostniała na piękne. Ale Marczak nasz olbrzym z osoby i wojak wysłużony, gdy spojrzy groźnie — zdawałoby się, że połknie człeka z kośćiami; mimo to ma serce ludzkie, a nawet miękkie. Nie mówiąc słowa, zdjął z siebie kożuch swój węgierski i otula podróżną.

— A pan jak pojedziesz bez kożucha?

— Co pani do tego? — moim obowiązkiem troszczyć się o podróżnych, o mnie troszczy się Pan Bóg, bo mi dał zdrowie!...

Przez całą drogę ile razy zagadała o zwrocie kożucha, ofuknął ją, aby przerwać rozmowę. Ziębnąć miał ochotę; lecz gadać niepotrzebnie, nie chciał. Dowiózł ją zdrową, sam zaś przychrypł trochę.

Narzekaniom kobiety w Bochni przysłuchiwał się konduktor drugi, jadący ku Węgrom. Nie chcąc się bawić ani w Marczaka litościwego, ani w Marcina świętego, jako urzędnik porządny, postanowił trzymać się paragrafu. Paragrafy zaś pocztowe nie uznając samorządu (zimy polskiej), nie uznają też i sanny. Centralizacja zupełna! Jednostajność jazdy od kończyn Dalmacji aż po Wisłę. Dla wygody podróżnych przypisany: wóz zamknięty szczelnie, gwoli ciepła. Owoż tego przepisu dzierżeć się rękami, nogami postanowił ów drugi konduktor.

Do Starego Sącza dopchał się, za pomocą ludu najętego ku pomocy. Lecz odtąd pomoc ta ustaje, bo gościniec cały gdyby zorany w bruzdę olbrzymią, a miejscami zaspy. Nadaremno odradzają puszczać się wozem; konduktor nie da sobie wspomnieć, cytuje paragrafy... Więc pocztarz ruszył ramiony, i kazał zakładać do wozu; postyljon zaś mruczał, że i za dwa dni nie zajadą.

Zajechali jednak wcześniej, ruszywszy o ósmej wieczorem. Ledwo za miastem, pan konduktor systematyczny, a raczej żołądek jego, w żaden sposób nie mógł wytrzymać chybania wozu, to w prawo, to w lewo. Poczuwając znamiona choroby morskiej, rad nie rad wysiadł — i najprzód obejrzał się na miasteczko, czy się nie naśmiewają z niego. Poczem spojrzał na drogę przed sobą, i mimowoli poskrobał się za ucho... Miał po temu przyczynę słuszną, bo jak daleko okiem sięgnął, widział dołek przy dołku, na całej zmarzłej i podziurawionej skorupie drogowej. Zwątpił w świat cały, bacząc iż wypada wątpić nawet w paragrafy!... Snać, nie przymierzając, jak panowie ongi ministrowie na drodze politycznej, łączącej Węgry z Rakussami, z tą tylko różnicą, że nie długo mógł wołać: ›Możemy czekać!‹ Musiał jednak wyczekiwać i to co chwila! bo konie, upadały pod ciężarem; ba! własnej nawet ręki nieprzywykłej musiał dokładać, i co siły trzymać wóz pocztowy, przewrotem grożący nie na żarty; a strachu co się najadł, a zimna co użył, tego nikt mu nie odbierze. Do Piwnicznej szyi (t. j. dwie mile) dopchał się o siódmej rano. I w tem podobny polityce centralnej od roku *1848* wieczór — do *1867* rano. Z powrotem jechał saniami, milczący, zły... przeklinał zimę całą z jej drogami polskiemi i węgierskiemi.

Odtąd zarząd pocztowy cierpi i znosi jazdę sankami, ale podróżni ziębną i mokną, płacąc za podwodę suchą i ciepłą...

Tak to bywa na świecie!..

I polityka to nie przymierzając — gdyby poczta!...

Za naszych czasów.

Komedja w czterech aktach Mieczysława Dzikowskiego.

Dziwne rzeczy dzieją się za „naszych czasów!"... Po bliższem jednak rozpatrzeniu się widzimy, że różnorodne kontrasty składają się na doskonale harmonijną całość: mamy dobrą dyrekcję teatru, takiż repertoarz i taką samą krytykę teatralną...

Nowości, zjawiające się na naszej scenie, są jedne jak drugie — godne być wstępem do *Księżnej Geroldstein*, którą (mówiąc nawiasem) dyrekcja ma zamiar nas uczęstować.

A jak się w obec tego zachowuje nasza poważna krytyka?... Komicznie, jeżeli nie gorzej!... Trudno o utwory bardziej do siebie zbliżone, jak *Stosunki rodzinne* Borkowskiego i *Za naszych czasów* Dzikowskiego. Poprobujmy zamienić tytuły — zamiana doskonała!... Połóżmy na szalę wartości oba utwory — nie przeważą się wzajemnie... Komedja jedna jak druga nic warta! talent dramatyczny autorów jednakowy, w obu utworach

przebija nieznajomość życia, w żadnym krzty oryginalności — rzeczy oklepane, a zaprawione kilkoma szumnemi frazesami, parę konceptów podejrzanej natury — to summa wartości obu komedyj... A jednak „krytyka“ nasza różnemi łokciami mierzy te bliźnięce próbki słabych talentów. Ganiąc pozornie *Stosunki rodzinne* — przyznała ich autorowi bardzo wiele... Zaś komedję *Za naszych czasów* osądziła nie godną krytyki... O „krytyko!“ czegożeś ty godna?...

A przecież umiemy się pozować, mamy pretensje, chcemy wielu rzeczy... Mimo to, gdy chodzi o sumienne ocenienie, o sąd trzeźwy, któren by do nauki posłużył i dał świadectwo naszej dojrzałości — coż spotykamy? Prywatę, kierowanie się względami, brak cywilnej odwagi by otwarcie wypowiedzieć zdanie, i w rezultacie: niesumienność w ocenieniu, zupełny brak krytyki... A bez niej czy daleko zajdziemy?... Czy dziennikarstwo potrafi sobie wyrobić stanowisko regulatora opinji? czy zdolne być wskazówką dla ogółu?.. Bardzo wątpimy.

Wracając do komedji pana Dikowskiego — to jakkolwiek nie odznacza się ona oryginalnością, grzeszy przeprowadzeniem nienaturalnem i układem, któremu bardzo wiele w ostatnich dwóch aktach zarzucić można — ma jednak tę wyższość nad *Stosunkami rodzinnemi*, że zawiera w sobie komizm, niedostateczny, słaby... który jednak nie pozwoli widzom zasnąć... a to już bardzo wiele w stosunku do *Stosunków rodzinnych*. Następnie ma utwor pana Dzikowskiego postacie bardziej kwalifikujące się do komedji, a wybornie oddawane przez panów Linkowskiego, Wilkoszewskiego i Królikowskiego; słowem ma życie, nie jest trupem... i jeśli autor z gruntu przerobi dwa ostatnie akta, jeżeli postaciom kobiecym nada więcej prawdy — nie wątpimy, że utwor jego utrzyma się na repertoarzu, i wbrew wyrokowi krytyki, żyć będzie skazane na śmierć, a nie powstanie z grobu utwor, któremu wróżono powodzenie...

Co do przedstawienia komedji, z przyjemnością podnosimy grę panny Bieńkowskiej. Młoda ta artystka zdradza nieposledni talent. Żałować należy, że pozbawiony kierownictwa, talent ten może zmarnieć... Gdyby panna B. miała przynajmniej dobre wzory; ale nasza scena tak jest ubogą w artystki...

Panna B. obok powierzchowności ujmującej, ma organ dźwięczny, wygłaszanie poprawne, w grze wiele przejęcia się i prawdy. Częstsze występy panny B. na scenie, mogą dać w niej dobrą artystkę do ról kochanek, które to role nie są obsadzone na naszej scenie.

Pan Baranowski w roli szlachcica Skibińskiego dowiódł, że talent jego ma wiele siły dramatycznej, i jeżeli przy warunkach które posiada pan B. nie wyrobi się na nieposledniego artystę — będzie to musiał przypisać własnej niepilności.

Krzywdzącą jest rzeczą, aktorowi tak utalentowanemu jak pan Doroszyński, dawać role podobnie nie znaczące... ale jest to system dyrekcji: starszym aktorom ubliżać, a młodszym nawet nie pozwolić w kilku słowach spróbować sił swoich na scenie.

Rozmaitości.

* „Strzechy“ zeszyt trzeci zawiera: Bezimienna (c. d.). Poezje. Mieszkańcy Podtatrza. Biali i Czarni powieść. Kronika. Słabą stroną „Strzechy“ są ilustracje i poezje.

* Tarnów coraz to większe daje oznaki życia; poruszona w Radzie miejskiej sprawa teatru stałego już jest na ukończeniu; a obecnie dowiadujemy się, że nakładem p. Rusinowskiego ma być wydawanym „Tygodnik Tarnowski.“

Dobry przykład do naśladowania daje Tarnów innym miastom naszym.

* Z Londynu zamówiono u pana Fr. Tepy sześć akwarel, przedstawiających typy ludu naszego kraju.

* 10. b. m. dawano w Paryżu po raz 500 wielką operę Rossiniego p. t. *Wilhelm Tell.* Po przedstawieniu, artyści opery, z dyrektorem na czele, udali się do mieszkania wielkiego mistrza, i po odśpiewaniu serenady, wręczyli mu wieniec wawrzynowy. Maestro do łez był poruszony tym objawem hołdu któren oddano talentowi i zasłudze.

* 21. i 23. b. m. ma być przedstawioną w Pradze, na teatrze czeskim *Halka*, opera Moniuszki.

* W Petersburgu ma być wydanym słownik estońsko-niemiecki. Moskali gniewa, że nie wydają go w języku moskiewskim!

* „Gazeta Kubańska“ donosi, że w stanicy afińskiej, na gruncie kozaka Złogo, przy kopaniu piwnicy, wykopano trumnę metalową, w której znajdowały się kości, pierścionki złote, kamienie i flakon szklanny; przy dalszem rozkopywaniu kopca znaleziono jeszcze szkielety, pierścienie i kamienie, co spowodowało rozporządzenie władzy o dokładniejszem zbadaniu tej miejscowości.

* Ludzie na jedną i tę samą rzecz rozmaicie się zapatrują. Za przykład posłuży „Odezwa do ziomków“ w celu założenia fundacji imienia Karola Szajnochy. Większość pism polskich zamieściła tę odezwę — gdzie im było wygodniej; „Nowiny“ i „Kalina“ na czele, a „Strzecha“ nie znalazła dla odezwy godniejszego miejsca jak... na okładce, którą przy oprawie zeszytów odrzuca się, jako zbyteczną. Czy nie jest to ilustracją lepszą od wielu ilustracyj?!...

* Z Tomska na Syberji donoszą, że 17. grudnia z. r. o godzinie 6. zrana w kopalniach zyranowskich dało się uczuć trzęsienie ziemi. Dwukrotne wstrząśnienia, które nastąpiły jedno po drugiem, trwały około 10 sekund przy huku podziemnym. Po południu dało się uczuć jeszcze jedno wstrząśnienie. Jednocześnie to trzęsienie ziemi miało także miejsce w okolicy ust-Kamionogórskiej, odległej od Zyranówki o 167 wiorst. Jest to zjawisko prawie nieznane w tej części ziemi. Podobnie i w Hermanstadzie w Siedmiogrodzie, zauważano dnia 25. grudnia z. r. trzykrotnie powtarzające się trzęsienie ziemi, które było tak silne, że obrazy i zwierciadła z ścian spadały.

* Dziennik redagowany przez kobiety zaczął teraz wychodzić w Padwie. Jest nim „La donna,“ do której pisywać mają tylko reprezentantki płci pięknej. Redaktorką odpowiedzialną jest pani Biccari, a jej współpracowniczkami najznakomitsze autorki włoskie.

* Pomnik dla Kepplera sławnego astronoma, odlany został w Norymberdze. Podstawa pomnika przedstawia Michała Mästlina, niegdyś profesora matematyki w Tubindze, którego Keppler był uczniem — nadto astronomów: Kopernika, Tycho Brahe'a i Josta Burgiusa.

Sprostowanie. W Nr. 16. „Nowin“ str. 124, w 1szym łamie, po 12tym wierszu zamiast (*po chwili*) powinno być PIOTR.

Dodatek: tablica wzorów z opisem.

TREŚĆ:

Na stepie (c. d.). — *Po śmierci* (c. d.). — *Obrazki sądeckie.*
Za naszych czasów. — *Rozmaitości.*

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.